

Przegląd amerykański (XIV)

Imperium amerykańskie grzmi

Jacek Koronacki

Poziom zakłamania publicznych enuncjacji administracji amerykańskiej oraz ogromnej większości komentarzy prasowych – w Ameryce, o Polsce nie mówiąc -- w sprawie konfliktu z Irakiem jest jakościowym *novum* w sztuce manipulowania opinią społeczną na potrzeby uzyskania demokratycznego przyzwolenia na politykę rządzącej elity. Od wielu miesięcy sprawa Iraku działa – a przynajmniej ma działać -- jak trucizna zniewalająca umysły. Opinia publiczna ma się opowiedzieć za wojną z Irakiem, a może nie tylko z Irakiem, o czym się nie mówi, na podstawie rzekomych argumentów, a w istocie propagandowych zakłęb.¹

Problem nie w tym, czy Sadam Husajn jest takim diabłem, jakim maluje go prasa. Nie w tym także, czy Irak posiada broń bakteriologiczną i czy czyni starania o skonstruowanie broni nuklearnej, jak też starania o zdobycie środków przenoszenia tej broni na duże odległości. To wszystko jest prawdą, Husajn jest okrutnym tyranem, ma na sumieniu użycie broni chemicznej w Iranie i we własnym państwie, co więcej, w Iraku znajdują schronienie terroryści. Ale czy to wszystko czyni Irak państwem jedynym w swoim rodzaju, czy nie ma innych państw co najmniej tak samo bliskich totalitaryzmu, nie gorzej przy tym od Iraku uzbrojonych, nie mniej wspierających terroryzm? Oczywiście takie państwa są, więc skąd bierze się wyjątkowe traktowanie państwa Husajna, *implicite* uznanie tego państwa za jakiś zupełnie szczególny twór, do tego tak zagrażający Ameryce, że zasługujący na tragedię wojny? Każdy przytomny człowiek widzi, że na te pytania administracja USA nie udziela żadnej odpowiedzi. Zamiast tego nieprzerwanie powtarza administracja te same oczywistości, o których już wspominałem, po czym dodaje, że Husajn, **jeśli zechciałby, to mógłby ...**, i że przeto Irak musi się poddać amerykańskiemu dyktatowi, czy to bez wojny, czy to w jej wyniku. Kto widzi w tym spójną i logiczną argumentację, prowadzącą do podanego wniosku, ten już uległ zatruciu umysłu przez nieprzerwane słuchanie tych samych zakłęb.

Do tego wyjątkowo słabo udaje się Amerykanom powiązać Husajna z al Kaidą i terroryzmem w ogóle, skąd łączenie ataku na Irak z wojną z terroryzmem wygląda niezrozumiale (dobrze nota bene wiadomo, że palmę pierwszeństwa we wspieraniu terroryzmu dzierży dziś Syria). Mało tego, przytomni amerykańscy komentatorzy słusznie zastanawiają się, dlaczego Husajn nie użył broni chemicznej przeciwko wojskom amerykańskim w czasie wojny w Zatoce Perskiej, gdy był wojskowo mocniejszy niż jest dzisiaj, zaś przystał na kompromitującą porażkę, nie zadając praktycznie żadnych strat Amerykanom? I odpowiadają, że irackiego ministra Tarika Aziza wezwał wtedy do siebie ówczesny sekretarz stanu James Baker i wyjaśnił co czekałoby Irak, gdyby zdecydował się na opór za wszelką cenę. Dodają też, że Husajn najprawdopodobniej popełnił błąd w swoich kalkulacjach; ich zdaniem polityka Husajna, awanturnicza w rejonie Bliskiego Wschodu, przeniknięta była (i jest) ostrożnością w

stosunku do Stanów Zjednoczonych – gdyby Husajn przewidział był interwencję USA w Zatoce, zapewne nie zaatakowałby ich zdaniem Kuwejtu. Krótko mówiąc, Husajn stara się działać ostrożnie i w proporcji do siły jaką dysponuje – jest tyranem i moredrcą, chętnie dożyłby jakiejś klęski USA, ale nie jest samobójcą i stara się nie posuwać zbyt daleko.

Fakt, że Irak posiada broń bakteriologiczną przyjemny nie jest, ale wylewanie dziś łez przez Prezydenta Busha nad Irańczykami, którzy odeń polegli jest nie do końca przekonujące. W końcu produkcję tej broni rozpoczęli Irakijczycy dzięki amerykańskim dostawom odpowiednich materiałów, które to dostawy rozpoczęły się w roku 1985, w czasie wojny Iraku z Iranem. Amerykańska współpraca z Irakiem w latach 80-tych nie potoczyła się, sądząc po dzisiejszej frustracji Departamentu Stanu i Prezydenta, po myśli Amerykanów, ale nie wynika stąd, że USA jest przez to w jakikolwiek sposób zagrożone jako państwo. Nie bez racji niejeden amerykański komentator dziwi się dziś owemu poczuciu zagrożenia, które jakimś cudem nie jest dzielone przez sąsiadów Iraku.

Krótko mówiąc -- bodaj nigdy po drugiej wojnie światowej oficjalne uzasadnienia decyzji politycznych nie były tak słabe i nigdy tak mocno nie pomijały rzeczywistych przyczyn dążenia do wojny. Stosunkowo rzadko daje się słyszeć w amerykańskiej prasie (w Polsce jeszcze rzadziej) głos rozsądku, który brzmi mniej więcej tak: Ameryka rozpoczyna swój okres imperium prawdziwie światowego i od Bliskiego Wschodu ma zamiar rozpocząć budowę *Pax Americana* (nic szczególnego w dziejach świata; nota bene, zupełnie słusznie jakiś niemiecki lewak przypomniał przy tej okazji doktrynę Breżniewa). **I rzeczywiście, jeśli już ruszać na Bliski Wschód, to na cały.** Irak byłby wówczas tylko pierwszym krokiem na drodze do zaprowadzenia nowego porządku w całym regionie. Nie widząc żadnego amerykańskiego interesu w przeprowadzeniu tego dzieła, nie widząc też możliwości, dostrzec przynajmniej można tego dzieła wewnętrzną logiczną spójność (oraz interes Izraela). Co ciekawe, opcja ta ma swoich wpływowych zwolenników. Jej orędownikiem jest np. wybitny amerykański neokonserwatysta, Norman Podhoretz. Pochwałę rozprawienia się z islamem, i zarazem pochwałę Prezydenta Busha, przedstawił Podhoretz we wrześniowym numerze słynnego miesięcznika *Commentary* (którego był zresztą założycielem i wieloletnim redaktorem naczelnym). Byłaby to przynajmniej „wojna do końca”, o której ostatnio – chyba nieświadomie -- pisał na łamach *Rzeczpospolitej* (8.10.2002) Marcin Król. A że na wojnę tę USA nie stać, że nie można o niej powiedzieć amerykańskiemu społeczeństwu, a coś mówić trzeba (och, ta demokracja!), to już inne sprawy.

Zreasumowana wyżej ocena amerykańskiej polityki bliskowschodniej jest zgodna z poglądami oraz publicystyką takich uznanych komentatorów amerykańskich jak Patryk Buchanan, Paul Craig Roberts, Joe Sobran czy Jude Wanniski. Sprzeciw wobec „uprzedzającego ataku” na Irak jest dzielony przez wielu analityków, politologów (nie wyłączając Zbigniewa Brzezińskiego) i naukowców². Ewentualne złe skutki takiego ataku są tak liczne, tak oczywiste i tak dojmujące, że aż wstyd je powtarzać, zaś zobaczyć zyski nader jest trudno. P.C. Roberts tak kończy jeden ze swoich felietonów: *Kiedyś królowie zabijali posłańca – dziś do Waszyngtonu posłańców się nie wpuszcza. Z radością natomiast wita się w amerykańskiej stolicy banialuki wypisywane przez stronników „Partii Wojny”*,

jak to ujmuje Buchanan, według których Husajn nie lepszy jest od Hitlera i jest prawie tak samo potężny.

Prawda natomiast dziwnie zaskakuje prominentnych amerykańskich polityków. Donald Rumsfeld, były kongresman, doradca prezydenta Nixona i Forda a dziś sekretarz obrony, były ambasador USA, w roku 1998 szef Kongresowej Komisji badającej dostęp tzw. państw zbójcekich do rakiet balistycznych, słowem specjalista i prominent co się zowie, wyraził na jednej z konferencji prasowych niedowierzanie, że Stany Zjednoczone zaopatrywały Irak w środki do produkcji broni chemicznej w latach 1985 – 1988 (wypomniał mu to w swoim felietonie Robert Novak).

O ewentualnej wojnie, która pochłonać może dziesiątki tysięcy istnień ludzkich, także wśród ludności cywilnej, której niechętni są wojskowi, mówi się w sposób szokująco abstrakcyjny, jak o dobrej partii szachów³. W przypadkach szczególnego zacierzwienia mówi się o niej jako o „akcji humanitarnej”, bo mającej wyzwolić lud spod władzy tyrana – tak wyraził się publicysta *Washington Post* Jim Hoagland, co nota bene przedrukowała skądinąd poważna *Rzeczpospolita*. Panujący rozbrat z rzeczywistością sprawia, że w głosach komentatorów konserwatywnych wyczuwa się rozpacz i złość⁴. Ponieważ nie zgadzają się z panującym *establishmentem*, bywają pomawiani o brak patriotyzmu, choć są za obroną interesów i bezpieczeństwa Ameryki, tyle że w żaden sposób nie są w stanie zobaczyć obrony tychże w działaniach „Partii Wojny”. Przeciwnie, szantażowanie atakiem wyprzedzającym uważają za pomysł chybiony i groźny dla wewnętrznego bezpieczeństwa Ameryki. Są zgodni, że – jak pisze P. C. Roberts – *rząd rośnie nie wtedy, gdy odnosi sukcesy, lecz wtedy gdy ponosi porażkę. Każdy nowy atak na amerykańską ziemię przyniesie wołanie o to, by „rząd uczynił więcej”. Zaś rząd chętnie na to przystanie, jeszcze bardziej oddalając rozsądne rozwiązanie*. Konserwatywni komentatorzy nie pojmują jak wojna z innym państwem czy państwami, zorientowanie zbrojeń na takie działania może zadać klęskę terrorystom. Są przy tym zgodni, że „Partią Wojny” – oraz polityką międzynarodową USA -- rządzi dziś neokonserwatyści, a to często znaczy reprezentanci lobby proizraelskiego.

Jak już wspomniałem, w jej maksymalistycznym – Normana Podhoretza -- wydaniu, wizja neokonserwatywna jest przynajmniej jasna i spójna. Podhoretz chce, ni mniej ni więcej, tylko zmusić islam do *wewnętrznej reformy oraz modernizacji*. Po pierwsze zakończony powinien zostać *pierwszy krok* działań Ameryki, czyli trwała zmiana reżimu afgańskiego. *Następnym krokiem będzie zmiana reżimu w Iraku – wielu z nas modli się, by stało się to raczej szybciej niż później*. To powinno zdaniem Podhoretza doprowadzić do wewnętrznej rewolucji w Iranie i obalenia rządów mułłów. Ale, pisze dalej amerykański komentator, *reżimy, które bez wątpienia zasługują na obalenie i zastąpienie innymi, to nie tylko wymienieni z nazwy członkowie osi zła. Oś powinna zostać poszerzona przynajmniej o Syrię, Liban i Libię, a także o takich „przyjaciół” Ameryki, jak królewska rodzina saudyjska oraz Hosni Mubarak, wespół z Autonomią Palestyńską, czy to zarządzaną przez Arafata, czy przez kogoś innego*.

Joe Sobran wziął się w tym momencie za lekturę scen bitewnych z „Iliady”, tu tylko *odnajdując obrazy, których groza pozwala [mu] wyobrazić sobie cierpienia, jakie mogą niewinnym ludziom przynieść nowoczesne bombowce i także artyleria*. My możemy, patrząc z większego dystansu, odwołać się do mądrości Zygmunta Krasińskiego, dla którego, by użyć cytatu z ostatniej książki Andrzeja Waśki, *Dzieje świata są procesem wiecznego odradzania się fenomenu [...] ziemskiego imperium. Zło, które najpierw objawia się w imperialnych podbojach, po ich dokonaniu staje się czynnikiem wewnętrznego rozkładu państwa. Po pewnym czasie jednak skupia się ponownie, w inną organizację państwową i militarną, powielającą wszakże niezmienny archetyp „Rzymu”*.⁵

Oczywiście, ostateczny kształt amerykańskiej polityki imperialnej pozostaje jeszcze wielką niewiadomą. Nie wiadomo jak potoczą się losy konfliktu z Irakiem, i tym mniej wiadomo o przyszłości stosunków amerykańsko-arabskich. Wiadomo, że narazie amerykańska polityka jest wygodna dla Rosji⁶ i może okazać się skarbem dla dążących do konfrontacji z Arabami polityków izraelskich. Wiadomo też, że chociaż los chrześcijan w Azji i Afryce, straszliwie prześladowanych przez muzułmanów, był zawsze Ameryce doskonale obojętny, to jednak teraz postchrześcijańskie imperium zza oceanu może nieoczekiwanie i niejako przypadkiem okazać się ich swego rodzaju sprzymierzeńcem. I, skoro już wspominam o chrześcijanach, to trudno nie odnotować w samej Ameryce aliansu tzw. chrześcijańskiej prawicy oraz lobby proizraelskiego. Niżej podpisany czytelnik (częstki) amerykańskiej prasy potrafi umiejscowić pierwsze zapowiedzi takiego aliansu w połowie lat dziewięćdziesiątych. Dziś chrześcijańska prawica wydaje się polityce proizraelskiej udzielać poparcia bardzo mocnego, by nie powiedzieć zaskakującego.

Dokąd zmierzamy, pytał w październiku P.C. Roberts, *czy wiemy jaka na dłuższą metę będzie odpowiedź Rosji, Chin, Indii, Europy na agresywność i interwencjonizm Ameryki? Dokąd zaprowadzi nas ta polityka? Czy obalając muzułmańskie reżimy poskromimy wojowniczy islam, czy raczej wyzwolimy mullów spod władzy ich zsekularyzowanych rządów, doprowadzając do zwielokrotnienia aktów terroru wobec Ameryki i Izraela? [...] Czy USA będzie mogło kontynuować tę politykę, jeśli w jej wyniku posiadający broń nuklearną Pakistan ulegnie raykalizacji?*

Roberts stwierdzał także: *Powioda się, że islam inspiruje agresję przeciwko światu niemuzułmańskiemu. Ale czym się ta agresja różni od świeżej agresywności USA? Islam jest przynajmniej prawdziwą religią, zbudowaną na jakimś fundamencie teologicznym. A jakaż to myśl stanowi uzasadnienie najeżdżania innych krajów po to, by narzucić im „zmianę reżimu” na obraz i podobieństwo naszego? Doktryny takiej nie sposób znaleźć u Ojców Założycieli. Jest to doktryna całkowitego zerwania z amerykańską tradycją*.

Możliwe, że Irakijczycy, zdając sobie sprawę z beznadziejności swego położenia w przypadku konfrontacji z USA, pozbędą się Sadama Husajna i „uprzedzająco” poddadzą, pozbawiając nas alibi usprawiedliwiającego wywołanie neokonserwatywnej wojny na Bliskim Wschodzie. Ale to nie uzdrowi neokonserwatystów z choroby wywołanej wirusem Rewolucji Francuskiej, zaś wirus ten będzie wkrótce im kazał szukać innego celu.

¹ Cały wstępny fragment niniejszego odcinka, poza drobnymi poprawkami stylistycznymi, pochodzi z mojego listu do redakcji *Rzeczpospolitej*, wysłanego pocztą elektroniczną 10 października br. Stąd zresztą wspomnienie o artykule Marcina Króla na końcu tego fragmentu. List zaś pozwałam sobie tu przytoczyć, ponieważ się nie ukazał, a wydaje mi się zawierać prawdę, prawdę i tylko prawdę, wartą powtórzenia mimo zmieniającej się sytuacji międzynarodowej.

² Głos prof. Schroedera przytaczałem obszernie w XII odcinku przeglądu (ARCANA 2/2002).

³ Wojna w Zatoce Perskiej, która według zgodnej opinii specjalistów była przedsięwzięciem nieporównanie prostszym, kosztowała Irakijczyków ponad sto tysięcy ofiar, w tym około 15 000 ofiar cywilnych.

⁴ To w złości, ale może i słusznie, Sobran wypomina prezydentowi, wiceprezydentowi oraz sekretarzowi obrony, że munduru nigdy nie nosili, nad wojskową służbę przedkładając wygodną karierę polityczną oraz pracę dla biznesu.

⁵ Andrzej Waśko, "Zygmunt Krasiński: Oblicza poety", Arcana 2001, str. 187.

⁶ Co, *nota bene*, na pewno nie martwi Buchanana i niejednego innego konserwatysty, z oczywistych zaś względów niepokoi Zbigniewa Brzezińskiego.